

rak
modlitwa
i ocalenie



WYDAWNICTWA
BENEDYKTYNÓW
TYNIEC

Mary McDonnell

rak
modlitwa
i ocalenie

Przekład:
Agnieszka Bielecka



TYNIEC
WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

Tytuł oryginału: Cancer, Prayer and Survival

Projekt okładki: Jan Nieć

Fot. na okładce: iStockphoto

Redakcja: Małgorzata Pieszko

Korekta: Agnieszka Padoł

*Imprimi potest: Opactwo Benedyktynów
L.dz. 151/2011, Tyniec, dnia 12.09.2011 r.
† Bernard Sawicki OSB, opat tyniecki*

Wydanie I: Kraków 2011

ISBN 978-83-7354-398-0

© Copyright by Mary McDonnell
© Copyright for the Polish edition by TYNIEC
Wydawnictwo Benedyktynów
ul. Benedyktyńska 37
30-398 Kraków
tel. +48 (12) 688-52-95
tel./fax: +48 (12) 688-52-91
e-mail: zamowienia@tyniec.com.pl
www.tyniec.com.pl

Druk i oprawa:
TYNIEC Wydawnictwo Benedyktynów
druk@tyniec.com.pl

Wstęp

Niniejsza książka jest historią ostatnich trzydziestu lat mojego życia. Z pewnością nie jest to powieść, ani też nie określiłabym jej jako opowiadanie. Z jednej strony ma początek i rozwinięcie, ale nadal trwa. Jest to bardziej dziennik podróży przez chorobę nowotworową – i poza nią. Zawiera wszystkie elementy życia: cierpienie, chorobę, rozczarowanie, nadzieję, a nawet zadziwienie. Jeśli któryś z nich ujawnił się w twoim życiu, to kontynuuj czytanie. Opowieść ta może cię poruszyć lub też w jakiś sposób może ci pomóc w uzdrowieniu, choćby nawet tylko z rozgoryczenia i gniewu.

Samą siebie postrzegam jako osobę bardzo przeciętną i zwyczajną, która doświadczyła czegoś niezwykłego. Chciałabym podzielić się z wami swoimi przeżyciami. To, czego doznałam i co pragnę w niniejszej książce opisać, może pomóc komuś w jego zmaganiu się z chorobą, bólem, strachem, z własnymi słabościami, niedostatkami, czy chociażby z poczuciem niezadowolenia. Mówiąc krótko: podróż przez raka to wstrząsające i przewartościowujące całe życie doświadczenie.

Pozwól, że się przedstawię – mam na imię Mary. Urodziłam się w 1952 roku i wychowałam w Walkinstown koło Dublinu. Moi rodzice pracowali na państwowych posiadach, a pochodzili z hrabstwa Clare. Mam starszego brata i dwie młodsze siostry. Dalsze dzieciństwo przypadało na lata pięćdziesiąte, brakowało pieniędzy, do wielu przyjemności nie mieliśmy dostępu, ale nie przypominam sobie bym odczuwała niedostatek. Bawiliśmy się na ulicy, jak wszyscy inni, w „łóżka” – rodzaj gry w klasy – w skoki przez skakankę, berka, czasami jeździliśmy na rolkach. Oczywiście dziewczyny pomagały swym mamom i bawiły się zabawkami dla dziewcząt, natomiast chłopcy nie musieli pomagać w domu, za to grali w piłkę na łące. Życie było piękne, nie chorowałam, a rzeczywistość, która mnie otaczała, postrzegałam jako wspaniałą. Szkołę niezbyt lubiłam, ale z nauką nie miałam trudności. Czytałam wszystko, co wpadło mi w ręce, i razem z moją młodszą siostrą Pauline spędzałam dużo czasu w bibliotece w Walkinstown.

Miałam bujną wyobraźnię, lubiłam marzyć na jawie. Oczywiście, w marzeniach zawsze byłam tą, która wszystkim i wszystkimi rządzi. Natura organizatora wychodziła ze mnie już w młodym wieku. Jako że moi rodzice pochodzili z Clare, latem spędzaliśmy wspaniałe wakacje na wsi. Wtedy jeszcze nie wyjeżdżało się za granicę.

Jako nastolatka byłam dość nieśmiała, brakowało mi pewności siebie. Poza tym nie podobałam się sobie. Co z tego, że dobrze szło mi w szkole? Chciałam być dobra w sporcie, mieć długie blond włosy zamiast niesfornych, na wpół kręconych, ciemnobrązowych. W tej kwestii nie byłam więc nadzwyczajna. Zapewne niczym nie różniłam się od innych nastolatek próbujących dorastać.

W latach sześćdziesiątych szaleńczo pasjonowałam się muzyką. Byłam wielką fanką Boba Dylana, Joan Baez i właściwie każdego, kto buntował się przeciwko systemowi. Każdy, kto śpiewał o wojnie, nędzy czy wszelkiego rodzaju niesprawiedliwości, był dla mnie bohaterem. Ja także pragnęłam zrobić coś, co chociaż trochę zmieniłoby świat. Odczuwałam też ten ogromny głód podróży, by zobaczyć różne miejsca, robić różne rzeczy. Marzyłam, że gdy dostanę pierwszą pracę, zaraz zacznę oszczędzać na pierwszy lot samolotem w dowolne miejsce na ziemi.

Urodzona i wychowana jako katoliczka, zawsze chodziłam na mszę, przypuszczam, że bardziej z przyzwyczajenia niż z przekonania. Odmawiałam modlitwy w intencji zwykłych spraw, takich jak zdanie egzaminu itp. Szczerze mówiąc, nie sądzę, bym kiedykolwiek miała „problemy z wiarą”. Bóg był gdzieś tam w tle po to, aby Go przywołać w chwili potrzeby. Przez resztę czasu zakładałam, że

mam sobie radzić sama. „Najpierw samemu coś rozgrzebać, a potem spodziewać się, że Bóg zrobi z tym porządek”. Nigdy na odwrót. Byłam osobą niezależną, która w większości sytuacji umiała sobie radzić sama.

Muszę powiedzieć, że zawsze trochę się obawiałam obrazu Boga Ojca – surowego, dalekiego Boga, przez którego, jeśli nie poszło się na mszę, można było zostać rażonym piorunem, albo jeszcze gorzej. Lepiej być bezpiecznym, przestrzegając zasad. Niedługo po tym jak weszłam w dorosłość, uzyskałam uprawnienia do nauczania w szkole podstawowej. Na tym etapie miałam za sobą jedną dłuższą znajomość i jeden krótszy, ale bardziej intensywny związek. W wieku dwudziestu lat życie wydawało mi się piękne. Po raz pierwszy w swym życiu miałam pieniądze i odwiedziłam Francję. Jak widzisz – niektóre z moich marzeń już się ziszczały. Sama byłam odpowiedzialna za swoje życie. Jeśli się czegoś chce, można to zaplanować, zaoszczędzić na to – i to się stanie. Ponownie odezwała się we mnie natura osoby panującej nad sytuacją. Decydowałam się na coś, dążyłam do tego i to się stawało – przynajmniej tak sądziłam.

Rozdział I

Poruszenia duchowości

W tym czasie akurat nie byłam związana z żadnym chłopakiem, mógłbyś rzec – wypuszczona na wolność; byłam trochę znudzona. Moja najlepsza przyjaciółka, Mary, która głębiej niż ja weszła w sprawy duchowe, i na pewno odważniej poczyniła sobie w tej dziedzinie, zajęła się TM, medytacją transcendentną. Jakiego głębszego sensu ona właściwie szuka? Czy życie w gruncie rzeczy nie było piękne? Myślałam, że zwariowała, urwała się z choinki – jak mówimy w Dublinie.

Pewnego dnia Mary poszła na spotkanie modlitewne na Eustace Street. Tamtejszy lider był zielonoświątkowcem. Sama sala służyła dawniej kwakrom. Za każdym razem, kiedy się widziałyśmy, opowiadała chyba tylko o tych spotkaniach i o tym, jak świetnie tam przemawiali. Jak dla mnie, spotkanie modlitewne było dobre dla baptystów z głębokiego Południa Stanów. Czy my nie mieliśmy w końcu mszy?

Faktem jest, że piątkowe wieczory były w tym czasie bardzo nudne. Siedzieć z rodzicami, oglądając

Late Late Show [program publicystyczny od dziesięcioleci nadawany w telewizji irlandzkiej w piątkowy wieczór – przyp. tłum.], czy udać się razem z Mary na któreś z tych spotkań? Co za wybór! Świadomie zdecydowałam, że nie zamierzam wysłuchiwać kazań, ale w końcu powiedziałam sobie: „No dobrze, pójdę – tylko raz. Potem zatrzymamy się w mieście i pójdziemy na parę drinków”.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, muszę przyznać, że miałam się na baczności. Przyszłam tu tylko ze względu na Mary, to ona jest tą, która chciała przyjechać. Zaskoczyła mnie liczba ludzi, setki, sala była wypełniona, a oni wciąż napływali.

Wtedy zaczęło się śpiewanie. Te pieśni były kompletnie inne niż te, które słyszałam na mszy – żywe i radosne, pełne uwielbienia i dziękczynienia, z pięknymi tekstami o głębokim sensie.

Zawsze pisałam wiersze i lubiłam zabawy słowne. Teksty tych pieśni to jak wspaniałe wiersze. Byłam pod wielkim wrażeniem i – wbrew sobie – poruszona, nie tyle przez świadectwa słyszane tej nocy, co przez muzykę. Zawsze szalenie lubiłam muzykę, a za dobrym zespołem czy piosenkarzem poszłabym na koniec świata. Patrząc z perspektywy czasu, Bóg, poprzez moją miłość do muzyki, przyciągał mnie ku sobie – choć sama sobie z tego nie zdawałam sprawy – przygotowując na próby, które miały nadejść i były już na wyciągnięcie ręki.

Miałam wtedy dwadzieścia dwa lata i poznałam człowieka, którego chciałam poślubić. Uczestniczyliśmy w piątkowych spotkaniach modlitewnych na Eustace Street, choć – jak podejrzewam – Sean przychodził tam (zresztą tylko co jakiś czas) jedynie ze względu na mnie. W Irlandii pojawiła się Odnowa Charyzmatyczna. Było w tym wielkie poczucie radości, że oto dzieje się coś nowego. Po raz pierwszy w życiu naprawdę słuchałam tego, co głosili tamtejsi księża, a także świeccy – niektórzy nawet niebędący katolikami – a ich słowa mnie przenikały.

Stateczny, nieco nudny, a trochę wzbudzający strach, obraz Kościoła wraz z jego postawą wobec Boga, ze wszystkimi zasadami i przepisami, został teraz zastąpiony całkowicie odmiennym podejściem. Większy akcent kładziono tu na współodczuwanie z Jezusem, a nie na surowego i bardziej odległego Boga Ojca. Po raz pierwszy w życiu namiętnie czytałam Biblię, zwłaszcza Nowy Testament. To było tak, jakbym po raz pierwszy usłyszała przesłanie, które zawsze tam było. O ile sobie przypominam, gdy dorastałam, katolików w ogóle nie zachęcano do czytania Biblii, aby przypadkiem czegoś nie zrozumieli błędnie, albo coś w tym rodzaju. Kiedy wydobylałam Biblię spod sterty wyrzuconych starych podręczników szkolnych, stwierdziłam, że jest prawie nowa. Musieliśmy ją kupić, bo była w programie szkolnym, ale nie pamiętam, abym kiedykolwiek do

niej zaglądała. Lekcje religii trzeba było przesiedzieć. Myślę, że nawet nauczyciel musiał się nudzić. W każdym razie nic z nich nie wyniosłam.

Piątkowe wieczory stały się nieomal najważniejszym wydarzeniem tygodnia. Słuchałam świadectw i byłam zdumiona historiami, którymi dzielili się ludzie: o tym, jak zmieniało się całe ich życie, a nawet doznawali uzdrowień. Potem przedłużaliśmy sobie wieczór, udając się na drinka, i często prowadziliśmy bardzo ożywione dyskusje, podczas których rozmawialiśmy właściwie o wszystkim: Bogu, muzyce, polityce. Można było zgadzać się lub nie, ale wszyscy dobrze się bawili. Byliśmy młodzi i zdrowi, a życie było cudowne.

Zawsze lubiłam słuchać dobrze przygotowanych przemówień, czy to w kościele, czy w klubie dyskusyjnym, czy gdzie indziej. Niektórzy mówcy z Eustace Street byli szczególnie dobrzy: ks. Martin Tierney, Charles Lambe, ks. Chris O'Donnell, by wymienić chociaż kilku. Mniej więcej w tym czasie postanowiliśmy przenieść nasze spotkania modlitewne do kościoła koło lotniska w Dublinie, który podlegał parafii księdza Tierney'a, a właśnie on prowadził spotkania w poniedziałkowe wieczory. Odprawiał tam również raz w miesiącu mszę. Msza była jakby przedłużonym spotkaniem modlitewnym, gdzie ludzie stawali w wyznaczonym czasie i dzielili się swymi doświadczeniami; a część naj-

bardziej uroczysta, konsekracja, była czymś pięknym i wyjątkowym. Zaczęło mi towarzyszyć nowe poczucie obecności Jezusa, którego nigdy wcześniej nie zaznałam, ale miałam doświadczyć go w szczególny sposób kilka lat później.

Wyobraź sobie jazdę aż tam, na lotnisko, autobusem w poniedziałkowy wieczór, najpierw do centrum miasta, a potem na jego północne krańce. Nie miało to sensu, ale właśnie tak robiliśmy. Modlitwa, śpiew, piękne msze trwające czasem dwie godziny, ludzie, których spotykaliśmy, przyjaźnie, które się tam nawiązało. Naprawdę chciało się żyć i wszystko było wspaniałe.

Planowaliśmy z Seanem ślub i oszczędzaliśmy na dom. Oboje mieliśmy bardzo pozytywne podejście do życia. Musieliśmy kiedyś mieć dom, skoro urabialiśmy sobie ręce po łokcie, oszczędzając na niego. Skoro ciężko pracujesz, czy nie zasługujesz na nagrodę?

No tak, w końcu pobraliśmy się. Kupiliśmy dom ciesząc się wszystkimi zwyczajnymi rzeczami: malowaniem, meblowaniem itp. Radosny czas. Ale dopiero mieliśmy się dowiedzieć, że to cudowne, szczęśliwe i zdrowe życie, które – jak sądziliśmy – nam się należy, miało się radykalnie zmienić i nigdy nie być już takie samo. Mieliśmy odkryć, że człowiek w ogóle nie ma władzy nad wydarzeniami swego życia. Ta śliczna bańka mydlana, którą było

Rak, modlitwa i ocalenie

nasze bezpieczeństwo i szczęście, miała wkrótce pęknąć. Przed nami pojawiła się droga pełna choroby i bólu, który dotknął każdego aspektu naszego wspólnego życia.

Oto, jak to się zaczęło.